

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Geografja i polityka.

Na jednym z ostatnich posiedzeń Sejmu warszawskiego nastąpiło drobne, ale niezwykle charakterystyczne zajście, które prasa polska zbyła paruwerszową wzmianką.

Gdy poseł ukraiński Zahidny mówiąc o Galicji Wschodniej użył wyrażenia „Zachodnia Ukraina“, marszałek Daszyński przerwał mówcy, zwracając jego uwagę, że Zachodnia Ukraina leży między Zbruczem a Dnieprem i że poseł, reprezentujący ten kraj nie może zasiadać w Sejmie polskim. „Możecie Państwo tworzyć dowolną geografję polityczną — oświadczył w tych słowach mniejwięcej przewodniczący marszałek Sejmu — ale w Sejmie musi obowiązywać urzędowa nomenklatura, ta zaś część państwa, o której jest mowa, nosi miano Małopolski Wschodniej“. *Roma locuta, causa finita*. Z p. marszałkiem sejmowym nie można się spierać na forum parlamentarnem i przywołany do porządku poseł ukraiński musiał w milczeniu wysłuchać tego oryginalnego wykładu geografji historyczno-politycznej.

My jednakże nie możemy nad tem wystąpieniem marszałka Daszyńskiego przejść do porządku dziennego, bo chociaż dotyczy ono na pozór kwestji błahej, niemniej mającej znaczenie zasadnicze. Nazwy bowiem są formą zewnętrzną, pod którą się ukrywa nieraz treść realna i nader żywotna. Wielu z nas pamięta przecież, jaką wagę społeczeństwo polskie przywiązywało do tego, by przemycić, gdzie tylko było można, nazwę *Wilno* zamiast urzędowej *Wilna*. Wyraz *Wilna* wprost nie chciał przejść przez gardło Polaka, chociażby przemawiał on w języku rosyjskim. O tę końcówkę *o* czy *a* toczyła się stale zacięta walka podjazdowa, pełna podstępów i wybiegów, która dziś może się nam wydawać nieco zabawną, ale która wówczas zaprzętała najpoważniejsze umysły

i obfitowała nieraz w epizody nawet mocno dramatyczne.

Albo ileż to energii pochłoneła wyteżona czujność prasy polskiej, by nie dopuścić do zaaklimatyzowania się wstrętnych, narzuconych nazw: *Zapadnyj Kraj*, a zwłaszcza *Priwislinskij Kraj!* Ile kosztowała ta walka zdrowia, czasu, a często i pieniędzy! I o co chodziło? O pustą nazwę tylko. A jednak obie strony toczyły o nią boje isticie homeryckie.

To też trudno się oprzeć zdumieniu, że marszałek Daszyński, człowiek niewątpliwie rozumny, socjalista z przekonań pozwolił sobie na uwagę, która żywo przypominała nam wystąpienia hakatystów i „istunno-ruskich“ działaczy z pod znaku *Katkowa*.

Przedewszystkiem p. Daszyński nie miał najmniejszej racji. Gdzie, w jakim dekrete, w jakiej ustawie, w jakim statucie figuruje nazwa Małopolski Wschodniej jako urzędowa? Jest to dziwoląg językowy i pojęciowy, nie wytrzymujący najlżejszej krytyki, sprzeczny z historją, etnografją i geografją, termin ukuty przez jakichś analfabetów, który się utarł w prasie i mowie potocznej, ale który nigdy chyba nie może uzyskać *placet* ze strony czynników poważnych i kompetentnych.

Można się spierać o to, czy nazwa Ukrainy Zachodniej może być stosowana do terytorjum Galicji Wschodniej, można odrzucać tę ostatnią nazwę w brzmieniu złacinizowanem i przywrócić prawo obywatelstwa dawnej nazwie historycznej: *Ruś Halicka*, albo wznowić zarzuconą również starożytną nazwę *Ruś Czerwona*, w żadnym razie jednak nie może być miejsca tu dla dla Małopolski Wschodniej. Przez czas jakiś w prasie endeckiej usilnie był lansowany termin *Białopolska* dla ziem białoruskich, znajdujących się w obrębie państwa polskiego. Neologizm ten się nie przyjął i został zarzucony, ale mógłby się utrzyć z równem powodzeniem, jak *Małopolska*

Wschodnia. Czyżby wtedy marszałek Daszyński również wymagał od posłów, by posługiwali się tego rodzaju „urzędową” terminologią? Czyż każde błazeństwo, skoro ma intencję nacjonalistyczną, musi mieć zaraz pieczętkę urzędową?

Termin *Zachodnia Ukraina* nie jest znany ani w historii, która rozróżnia jedynie Ukrainę prawobrzeżną i lewobrzeżną ani w słowniku międzynarodowym. Jest więc najzupełniej dowolny i może być stosowany względem tej lub owej połaci ziem ukraińskich w zależności od stanowiska politycznego. Poseł Zahidny, jak wogóle cała obecna publicystyka ukraińska, mianem Zachodniej Ukrainy obejmuje całe terytorjum z ludnością ukraińską w granicach państwa polskiego, a więc nie tylko Galicję Wschodnią, ale i Wołyń, a bodaj i Chełmszczyznę. Natomiast marszałek Daszyński widzi Ukrainę Zachodnią na przestrzeni między Zbruczem i Dnieprem, czyli zalicza do niej dawne województwa Kijowskie, Podolskie i część Wołyńskiego. Różnica w zapatrywaniach, jak widzimy, ogromna. Ale dlaczego ma być obowiązujący punkt widzenia marszałka Daszyńskiego? I co tu ma do powiedzenia Ukraina Sowiecka, na dobre sąsiedzkie stosunki z którą niezbyt szczęśliwie powołał się marszałek Daszyński?

Ważniejszą jednakże od merytorycznego zagadnienia, gdzie leży istotnie Zachodnia Ukraina, jest tendencja, która się tak wyraźnie zaznaczyła w wystąpieniu marszałka Daszyńskiego, szczególnie rażąca u przedstawiciela P. P. S., a bynajmniej nie uwarunkowana jego rolą przewodniczącego obradom sejmowym. Urzędowa nomenklatura zna tylko podział administracyjny państwa na województwa, żadnych krajów ani obszarów historycznych lub też etnograficznych nie uwzględnia. Gorliwość więc marszałka Daszyńskiego nie wypływała z jego obowiązku stania na straży litery prawa, lecz z indywidualnego popędu do zademonstrowania swych uczuć na-

cjonalistycznych. Wypowiedziała się tu naga dusza typowego pepeesowca.

Ale powstaje pytanie, jak daleko będzie sięgać cenzura marszałkowska, bo chcąc być konsekwentnym i korzystając ze swej dyskrecjonalnej władzy p. Daszyński, niewątpliwie zabroni posłom wymieniania w swych przemówieniach również ziem białoruskich i litewskich, a to ze względu na dobre sąsiedzkie stosunki z Białorusią Sowiecką i Republiką Litewską? W trudnym więc położeniu znajdują się przedstawiciele naszego kraju, gdy będą chcieli poruszyć całokształt jego potrzeb i interesów. Jak go nazwać? Termin *Litwa i Białoruś* wywoła stanowcze veto marszałka, a urzędowa nazwa dotąd nie została obmyślona. „Kresy Wschodnie” i „Ziemie Wschodnie” obejmują nie tylko obszar b. W. Ks. Litewskiego, ale i Wołyń, zresztą jako termin, datujący się z czasów Generalnego Komisarjatu, którego władza sięgała poza Mińsk, tembardziej może wywołać niezadowolnienie ze strony Rosji Sowieckiej..

Oto do jakich absurdów można dojść, nie mając pod sobą pewnego gruntu ani formalnego ani rzeczowego. A tak łatwo uniknąć niepotrzebnych komplikacji i kompromitacji, jeżeli przyjąć jako elementarną zasadę, że każdy naród ma prawo nazywać siebie i swój kraj tak, jak to uważa za właściwe. Jeśli nikt nie może zabronić Polakom używania terminu *Ruś* i *Rusin*, a Rosjanom *Małorossija* i *Małoros*, tembardziej chyba wolno narodowi ukraińskiemu nazywać siebie *Ukraińcami* a swą ojczyznę *Ukrainą!* Więc niech każdy zostanie przy swoim, czas zaś wykaże czy w starożytnej Rusi Czerwonej, a późniejszej Galicji Wschodniej silniejszy będzie pierwiastek ukraiński, czy małopolski. I to zadecyduje o ostatecznej jego nazwie.

Poezja wileńska.

Ileć biorę do ręki świeżo wydany w Wilnie zbiorek poezji, przedewszystkiem szukam w nim utworów, któreby mogły być wyrazem oryginalnej twórczości wileńskiej.

Pomijam oczywiście wydania przypadkowe, w rodzaju poezji Kruszewskiej, Słonczyńskiej, Walewskiego, których ukazanie się w Wilnie należy zawdzięczać żyłce męczennasowskiej właściciela drukarni nakładowej „Lux”, mam na myśli jedynie tych poetów, którzy tak lub owak z Wilnem się związali, tu tworzą i dlatego tu drukują.

Może się wydać na pozór dziwołagiem pojęciowym określenie: twórczość artystyczna wileńska. Wszakże nie klasyfikujemy literatury ani sztuki wogóle według miejsca zamieszkania artystów. Czy jest do pomyslenia np. literatura warszawska w odróżnieniu od krakowskiej lub poznańskiej? Skoro więc wszystko, co jest drukowane w języku polskim,

zaliczane bywa do literatury polskiej, zdawałoby się, że nie może być miejsca dla odrębnej twórczości wileńskiej. Jednakże język nie stanowi o wszystkim. Niedawny laureat m. Łodzi, głośny poeta Julian Tuwim, który pisze wyłącznie po polsku, nietylko ze względu na swe pochodzenie, ale w stopniu o wiele większym ze względu na rodzaj swej twórczości przez niektórych krytyków jest nazywany poetą polsko-żydowskim. O wiele zaś mniej głośna i wybitna poetka Marja Wilejszysówna, również pisząca w języku polskim, która przed kilku laty wydała w Wilnie zbiorek wierszy p. t. „Z mojej palety”, zaliczona została w jakiejś recenzji do kategorii pisarzy polsko-litewskich. A więc prócz języka są jeszcze inne cechy, które decydują o charakterze narodowo-terytorjalnym danego utworu.

Otóż odrębną literaturę wileńską pojmuję jako twórczość w języku polskim, lecz na podłożu litewsko-białoruskiem. Ten amalgamat posiada tak specyficzne zabarwienie, że bez trudu daje się odróżnić od zbliżonych doń kształtem i wewnętrzną budową samorodków. Typowym przedstawicielem lite-

Dlaczego?

Po powrocie do Wilna z ćwiczeń, na które byłem powołany jako oficer rezerwy, zastałem w Redakcji dwa elaboraty: jeden podpisany przez o. Hapanowicza, drugi przez ks. R. Macaulta. Ponieważ oba listy są gęsto naszpikowane wyrażeniami, które w Rosji nazywano „wziatymi iz konsistorskiego leksikonu”, na Zachodzie zaś uchodzącymi za „nieparlamentarne”—odpowiadać na nie nie będę. Jedno tylko muszę podać do wiadomości obydwóch autorów, że nie jestem kapłanem ani tego, ani innego obrządku, nie jestem nawet teologiem, podaję to w tym celu, by ci panowie zechcieli łaskawie uwolnić od swych inwektyw osobę ks. T. Co do o. H. to mogę dodać, że w związku z memi zarzutami w artykule „Nieświadomość czy perfidja”, oraz innemi sprawami, o których nie pisałem, mogę służyć dowodami prawdy na każdym forum, byle by to forum miało charakter publiczny. Tyle o elaboratach.

Zajmują mię natomiast głosy, które z oburzeniem dopatrują się w mym artykule chęci szkodenia sprawie Unji. Otóż chcąc wyjaśnić moje w tej sprawie stanowisko—oświadczam, że:

Unję uważam za jedną z najaktualniejszych spraw w naszym kraju, gdyż,—pomijając motywy obchodzące mnie jako katolika—uważam ją za jedyny środek do zlikwidowania ekspansji tych wszystkich komunizujących sekt, które mając bogate poparcie zagranicą, rozwijają coraz intensywniejszą działalność wśród prawosławnej ludności białoruskiej, a działalności tej Cerkiew prawosławna nie jest w stanie przeciwstawić się.

Tylko za pośrednictwem Unji może nastąpić odrusyfikowanie prawosławnej białoruskiej ludności, któremu ona, zawdzięczając Cerkwi prawosławnej, uległa i obecnie ulega.

Ziemiom białoruskim i ukraińskim właśnie, na których rozwijała się ongiś praca apostolska św. Jozafata i metropolity Weljamina Rutskiego wypadnie odegrać rolę etapu w pochodzie Kościoła katolickiego do Rosji,—biorąc tem samem udział w zrealizowaniu świętej idei zjednoczenia Kościołów.

Gdy przyjrzymy się w jaki sposób obecnie praca unijna jest na terenie archidiecezji wileńskiej przeprowadzana, to, ze smutkiem musimy wyznać, że jest ona bardzo daleką od tej drogi, po której powinnyby kroczyć. Czynniki kurjalne, którym w myśl wskazań Stolicy Apostolskiej sprawa Unji, zdawałoby się, winna leżeć na sercu, odnoszą się do Unji z tych lub innych względów, w najlepszym razie, obojętnie. Jeżeli coś się nawet robi, to bez jakiegos planu i dla tego cała akcja pozostaje w stadium szkodliwych eksperymentów; do pracy zostali zaangażowani niektórzy ex prawosławni, duchowni, do których my katolicy z przykrością musimy się przyznawać jako do księży katolickich (pomijając już brak wiary w szczerść ich nawrócenia się); natomiast kler gr. katolicki jak zakonny, tak i świecki, mimo że mógłby pracować z pożytkiem dla sprawy,—został z akcji wyeliminowany. Tak postawiona akcja unjonistyczna musi dać w swym końcowym efekcie kompletne fiasco, kompromitując (już nawet obecnie) Kościół katolicki i zamykając na dłuższy czas drogę do zjednoczenia Kościołów nie tylko na ziemiach ruskich, lecz i w Rosji

I dlatego właśnie ja, człowiek świecki, z przykrością zabieram głos w sprawach Unji, demaskując działalność „misjonarzy” wszelkiego autoramentu i tylko dobro sprawy a nie żadne inne pobudki kierują mną przy pisaniu artykułów o Unji... Do czasu nim do pracy nie zostaną wciągnięte czynniki katolickie rozszerzając w ten sposób skupienie „wielkich misjonarzy”, akcja misyjna nie może budzić w katolikach zaufania i będzie przezemnie na łamach jak polskiej tak i zagranicznej prasy zwalczaną, a materiałów jak z przeszłości tak i terażniejszości „działać”—nie zabraknie.

Zarzut, że swemi artykułami utrudniam akcję Unji jest niesłuszny, gdyż jeżeli jest do wyboru czy upadek pracy unjonistycznej później, gdy będzie rozwinięta na większą skalę i nb. bardzo rozreklamowaną, czy też obecnie, gdy o Unji nie wiele kto wie, to już lepiej niech to nastąpi obecnie,—mniejszą będzie kompromitacja i szkoda dla Kościoła. Zresztą, może kiedyś w Kurji dojdą do głosu czynniki, które zrozumieją doniosłość sprawy i potrafią ją skierować na właściwe tory.

ratury wileńskiej jest Syrokomla. W jego poezji jest coś nieuchwytnego, co z trudem daje się zdefiniować, a co jednakże nakłada na nią tak odrębne piętno, że najmniej wykształcony i najmniej subtelny czytelnik od razu odczuje bliskość jej lub obcość—w zależności od swego pochodzenia. Prof. Zdziechowski w swym głębokim, chociaż niestety zbyt pobieżnym szkicu o Syrokomli ustrzuje tę charakterystyczną właściwość jego twórczości w *rzewności* wiążącej się ściśle z nieznanem w innych literaturach, wzruszająco serdecznym odczuciem i umiłowaniem natury i krajobrazu rodzinnego. Ta rzewność jest odbiciem i wyrazem naszego, krajowego, litewsko-białoruskiego pierwiastka. Zupełnie słusznie prof. Zdziechowski utrzymuje, że poezje Syrokomli stanowią granicę duchową między Litwą historyczną a Polską. „Gdzie jej rzewność już nie wywołuje oddźwięku, jest to znakiem, że stanęliśmy w innym kraju, w innym klimacie psychologicznym, wśród ludzi inaczej czujących, w inny sposób do ojczyzny przywiązanych”...

Istotnie pod wielu względami do Syrokomli jest

zbliżony Lenartowicz, również „lirnik wioskowy”, jednakże jaka wyraźna różnica pomiędzy ujęciem przyrody u jednego i u drugiego. I nie tylko dlatego, że jeden opiewał Litwę i Białoruś, a drugi Mazowsze, lecz dlatego głównie że Syrokomla miał duszę białoruską, której Lenartowicz nie posiadał. Wszakże Litwę, Żmudź, Polesie z entuzjazmem stawiał Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi”, ale prośbę porównać stosunek Pola i Syrokomli do naszej ziemi. Pol—to turysta, z zaciekawieniem spoglądający na nieznaną mu kraj; Syrokomla—to gorący patriota, to wierny syn swej ojczyzny, jej trubadur i jej kochanek.

Albo weźmy taką Konopnicką i pierwszą lepszą jej piosenkę o ruczaju, o roli, o rosie. Ten sam, zdawałoby się, krajobraz, co u nas, te same drzewa, to samo niebo, to samo zboże. A jakże odmiennie jest to wszystko ujęte i odmalowane! Nie wiedząc kto jest autorem wiersza i jakie strony go zrodziły, po paru strofach czuje się od razu, że to nie nasze rojsty i dyrwany, nie nasza „żywiola”, nie nasz pastuszek jej strzeże. Inny temperament, inna fantazja, inny zasadniczy stosunek do natury. Życie nasze jest

Jeszcze jedno. Dobrze by było, gdyby Kurja posiadała dokładne dane statystyczne co do zaludnienia, bo misjonarze w zapale autoreklamy podają fantastyczne cyfry nawracając w niektórych miejscowościach na Unję nie tylko prawosławnych, lecz i rz. katolików, a nawet żydów. A i tak jeszcze liczby szwankują.

Dymitry Marenycza.

Sfalszowany podpis.

Na artykuł p. D Marenycza p. t. „Nieświadomość czy perfidja?“, zamieszczony w № 10 „Przeglądu Wil.“ zareagował pierwszy niejaki ks. R. Macault, nadsyłając nam obszerny list, zawierający gorącą obronę ks. Hapanowicza a stek wymysłów pod adresem autora artykułu.

Ponieważ podpis był nie całkiem czytelny, a u dołu rękopisu wyraźnie stało pismem maszynowym „Ks. R. Mako'w Białymstoku, Plebanja Fary“, wydało się nam, że autorem repliki jest jakiś ks. Makow i pod tem nazwiskiem udzieliłiśmy „odpowiedzi od Redakcji“.

Mimo jednakże błędnej transkrypcji swego nazwiska, ks. R. Macault, poinformowany o naszej odpowiedzi przez któregoś z konfratrów, domyślił się z łatwością, że tu wchodzi w grę jego osoba i nadesłał nam z Białegostoku list w języku francuskim, w którym pod słowem kapłańskim zapewnia, że żadnego artykułu do „Przeglądu Wil.“ nie pisał i że wogóle od dawna nie zabierał głosu w kwestji Unji.

Nie mamy najmniejszej podstawy nie wierzyć tak kategorycznemu zaprzeczeniu oddanego, jak widać, prac ideowej i dalekiego od miejscowych intryg kapłana-cudzoziemca. Pozostaje jednakże zagadką, kto jest rzeczywistym autorem nadesłanej nam repliki, innemi słowy, kto się odważył *sfalszować* podpis ks. Macault? *Is fecit cui prodest*. Ta niezawodna maksyma nasuwa wniosek oczywisty, że falsyfikat jest dziełem rąk któregoś ze zbyt gorliwych przyjaciół ks. Hapanowicza, dobrze obeznanego z miejscowymi stosunkami kościelnymi, na co wskazuje treść listu, jak też zrzęcznie podrobiony podpis ks. Macault.

Nie mamy zamiaru dochodzić osoby fałszerza. W tej sprawie jest raczej zainteresowany ks. R. Macault. Nam wystarczy stwierdzenie faktu fałszerstwa i napiętnowanie publi-

jeszcze tak pierwotne, tak mało złożone, tak związane ze wsią i naturą, że poeta wileński, jeśli czerpie natchnienie z ojczystej gleby, ma do wyboru dwie drogi: albo sięgać do przeszłości, która była o wiele bardziej barwna i ciekawa od współczesnej szarej rzeczywistości, albo też poprzestać na obcowaniu z wiecznie młodą i nęcącą ku sobie tajemnym urokiem przyrodą.

Tak też czynili i Mickiewicz i Syrokomla i Chodźko i, mimo zmienionych warunków, i dziś jeszcze oryginalna twórczość wileńska innego charakteru mieć nie może. Miłość i uwielbienie natury nie są oczywiście cechą wyłączną poezji wileńskiej. Poeci wszystkich narodowości i wszystkich czasów opiewali piękno przyrody, najczęściej znajdując na jej łonie ukojenie po kłękach i zawodach życiowych. Ale związek literatury wileńskiej z naturą jest daleko bardziej bezpośredni i organiczny, niż u tych pisarzy, którzy do niej wracali zniechęceni do cywilizacji nowoczesnej, do obłudy ludzkiej, do niesprawiedliwości dziejowej i krzywd społecznych. Realizm uczuciowy Mickiewicza i Syrokomli daleki jest i od konwencji-

czne tych metod, jakimi się posługują obrońcy i przyjaciele ks. Hapanowicza. Postępek ten rzuca dostatecznie światło na ich moralne oblicze.

Z mego notatnika.

Skandal w murach uniwersyteckich.

Niech czytelnik nie myśli, że będzie tu mowa o przyłapaniu na gorącym uczynku ryzykownego flirtu profesora ze swą asystentką. Takie wypadki zdarzały się wprawdzie, ale nie nabierały większego rozgłosu. Ostatecznie była to sprawa prywatna, obchodząca tylko tych dwoje, i najwyżej jeszcze mimowolnego świadka, który nie wiedział jak się ma zachować w tak drażliwej sytuacji. Ale to, co się stało obecnie, nie może nie interesować opinii publicznej, która jednakże dotąd milczy czy dlatego, że waha się, jakie ma zająć stanowisko, czy też obawiając się głośną krytyką poderwać ostatecznie autorytet moralny uniwersytetu i reprezentującego go ciała profesorskiego.

Ale nie będę już dłużej nadużywał cierpliwości czytelnika i powiem wyraźnie, co zaszło na wszechnicy Stefana Batorego w ów wieczór burzliwy, gdy pioruny waliły w Wilno, jakby w jaką Sodomę i Gomore. Oto, gdy miasto było pogrążone w ciemnościach, Senat U. S. B. przy świetle błyskawic spisywał uroczystą uchwałę, mocą której pozbawiał godności profesorskiej dziekana wileńskiej Rady Adwokackiej znanego mec. Petruszewicza, za karę, iż występował on w roli dobrowolnego obrońcy w procesie „Hramady“... Na zewnątrz uchwała ta ma wygląd bardziej niewinny. Zawiera jedynie decyzję Senatu nie odnowienia na rok przyszły kontraktu z mec. Petruszewiczem. Ale nie o formę chodzi, lecz o istotne pobudki, które kierowały inicjatorami, wniosku. Motywowany zaś był on właśnie w sposób powyższy.

Darmo przeciwnicy tej skandalicznej uchwały (a byli tacy, co do pewnego stopnia ratuje honor uniwersytetu) wskazywali, że jest to sprawa,

nalnego sentymentalizmu pseudo-klasyków, i od rewolucyjnego anarchizmu Rousseau i od panteizmu filozoficznego Goethego i od gwałtownej namiętności Byrona i Słowackiego i od fantastyczności romantyków niemieckich i od lirycznego marzycielstwa Shelley'a i od przyrodniczego naturalizmu i sztucznego impresjonizmu czasów ostatnich. Przypomina on raczej obiektywizm starożytnych Greków i Rzymian, którzy jeszcze nie wzięli rozbratu z naturą i którzy trwali w niej całym swym jestestwem. Ale obiektywizmowi starożytnemu brakowało tego uczuciowego zabarwienia, jakie mogło powstać dopiero później, na tle rozwoju nowoczesnej cywilizacji i przeciwstawienia się skomplikowanego mechanizmu nowożytnej kultury prostocie życia wiejskiego. Słowem istnieje odrębna poezja wileńska, którą cechuje przede wszystkim bezmierne przywiązanie do rodzinnej ziemi, życie się z przyrodą, bezpośredniość czerpanych z niej wrażeń.

Gdy więc na arenę występuje młody poeta wileński, interesuje mię przede wszystkim pytanie, czy jego twórczość jest oryginalna, samorodna, czy też

do której Senat nie ma żadnego prawa się wtrącać, że nad etyką adwokacką czuwa Rada Adwokacka, na czele której stoi właśnie prof. Petruszewicz, że interwencja Senatu w danym wypadku jest niczem innym, jak wywieraniem moralnego teroru na niezależność przekonaniową wykładowców—zwolennicy ostracyzmu okazali się w większości i przeforsowali swój reakcyjny wniosek, o którym przyszedł bezstronny historyk uniwersytetu będzie wspominał z takim samym oburzeniem, z jakim dzisiejsi traktują rozporządzenie Nowosilcowa, usuwające z wileńskiej katedry uniwersyteckiej—Lelewela. Nie podziałał nawet argument natury oportunistycznej, że podsądni, których bronił prof. Petruszewicz zostali uniewinnieni. Przeciwnie ta okoliczność, zdaje się, właśnie najbardziej obciążała go w oczach reakcyjnych jego kolegów, dla których miano „czarnej sotni“ byłaby określeniem najodpowiedniejszym. Ale mniejsza o ciało profesorskie uniwersytetu wileńskiego. Na palcach przecie można policzyć w niem ludzi niezależnych, oddanych tylko nauce, dalekich od schlebiania panującym płytkim prądom nacjonalistyczno-zaborczym. Przeważają urzędnicy i karjerowicze. Ostatnia uchwała podkreśliła tylko jaskrawo tę niewątpliwą prawdę, że uniwersytet wileński nie jest świątynią nauki, lecz placówką polityczną, ekspozyturą endeckiego wstępnictwa i obskurantyzmu.

O wiele bardziej przygnębiające wrażenie, niż uchwała Senatu wywiera milczenie opinii publicznej, prasy, adwokatury. Nie rozległ się dotąd żaden głos protestu ani pojedynczy, ani zbiorowy. Nie wyraził swego oburzenia publicznie koledzy p. Petruszewicza ani z Rady Adwokackiej, którą pośrednio spotkał przeciw wielki despekt, ani ci spośród profesury, którzy słusznie we wniosku Senatu upatrywali zamach na wolność swych przekonań i niebezpieczny precedens na przyszłość.

Jeżeli nie chciano nadawać tej sprawie rozgłosu, aby nie zaszkodzić opinii uniwersytetu, to taka taktyka, jest najzupełniej błędna, bo zatuszować całkiem skandalu w żaden sposób się nie da, grobowe zaś milczenie może świadczyć jedynie, że ogół profesorów i adwokatów solidaryzuje się ze stanowiskiem Senatu. Jeżeli zaś miano na względzie miłość własną wykluczonego profesora, to

popelniono również krok fałszywy, bo takie zachowanie się może nasunąć przypuszczenie, ubliżające mec. Petruszewiczowi, jakoby wstydził się swego postępu i pośrednio uznawał słusność czynionych mu zarzutów. Przeciwnie, energiczny i szeroki protest mógł by stanowić dlań moralne zadośćuczynienie.

A może to jest tylko cisza przed burzą?

Licz.

Piszą do nas.

Nasze bolączki.

Mieszkając stale w głuchym zakątku nad Dźwiiną, nie jestem w stanie ogarnąć wzrokiem całego naszego kraju, wyciągnąć jakichś ogólniejszych wniosków o położeniu ludności, o jej potrzebach gospodarczych, o brakach w życiu samorządowym, o działalności władz administracyjnych.

Sądzę jednak, że wobec podobieństwa warunków ekonomicznych i społeczno-politycznych na całej przestrzeni naszego kraju litewsko-białoruskiego pewne niedomagania i bolączki, które my tu odczuwamy, są zjawiskiem powszechnym i równie dobrze dają się we znaki mieszkańcom okolic naddźwińskich, jak nadniemeńskich lub poleskich. Mam nadzieję więc, że drobny przyczynek niniejszy, dotyczący stosunków na północnym skrawku pow. Braśławskiego rzuci nieco światła na ogólny stan naszego kraju pod względem gospodarczym.

W gazetach dużo się pisze o dobroczynnej akcji jaką rozwija na naszej ziemi państwowy Bank Rolny. Niestety promienie jej do nas nie dosięgają. Miejscowa ludność, zrujnowana za czasów wojny światowej, a jeszcze bardziej podczas wojny polsko-bolszewickiej, od kilku lat znajduje się w nader ciężkim położeniu. Niski poziom kultury rolnej, rosnące wciąż podatki pośrednie i bezpośrednie, wreszcie ciągłe nieurodzaje doprowadziły wiele gospodarstw do ruiny.

Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów słuchaczy (I. S. B.) wiersz Teodora Bujnickiego, którego treść i forma korzystnie odbijają swą szczerością i prostotą od pretensjonalnych utworów jego rówieśnych i starszych kolegów po piórze. Autor tu śmiało, nie obawiając się posądzenia o brak oryginalności, wkacza na dobrze nam znane, wydeptane przez wielkich jego poprzedników ścieżki, a jednak ukazuje nam te same widoki w nowym oświetleniu i nowymi każe patrzeć na nie oczyma.

Ale zamiast słuchać o nim komentarzy, niech czytelnik pozna ten wyjątkowy co do swego charakteru utwór w oryginale. Pozwalam sobie przedrukować go tu w całości.

OJCZYŻNA.

*Nie tęsknię do was morza i obce wyłądy,
gdy mi stopy się bielą kurzem swojskich dróg.
Ponad baśnie Sezamów i cudy Golkondy
przenoszę swojskie niebo i łąkę swojskich smug.*

sztućcia, wzorowana na przykładach obcych, obcym wpływom ulegająca. Oznaką bowiem prawdziwego talentu jest szukanie własnych dróg, dążenie do prawdy, niezdolność do przebywania w atmosferze konwenansu i mody. Na naszym zaś gruncie urbanizm i wszystkie jego akcesoria zewnętrzne oraz związana z nim psychika współczesnej jednostki czy też tłumy—są to zjawiska nieznanne, niemal mityczne. Środowisko to, jako źródło natchnień bezpośrednich dla poety wileńskiego jest niedostępne. Poeta wileński opisując wir życia wielkomiejskiego, huk maszyn, nudę jednostajnych murów, zaciętą walkę klas, gorączkową walkę o byt—uderza w ton fałszywy, bo nie ma możliwości obserwowania tego wszystkiego, przeżywania podobnych wrażeń. Słowa jego są przeto martwe, obrazy teatralne, nastrój sztuczny. Niestety wśród młodej generacji poetów wileńskich brak silnych indywidualności, któreby się potrafiły oprzeć prądowi, płynącemu zewnątrz.

Z tem większą radością odnalazłem w niedawno wydanym zbiorku najmłodszych poetów wileńskich p. t. S. T. O. (co oznacza w skróceniu: Sekcja

90 proc. rolników każdej wiosny, prócz drobnej pomocy kredytowej z Kasy Stefczyka w Drui, od której, po potrąceniu udziałów i procentów, niewiele pozostaje, korzysta szeroko z pożyczek, zaciąganych u handlarzy miejscowych, opłacając od nich niesłychane procenty. Za wzięty wiosną 1 pud zboża płaci się w jesieni 3 pudy, za 100 zł. gotówkę — 160 lub nawet 200 zł. w stosunku rocznym, za 1 pud mąki zwraca się 3 pudy siemienia lnianego i t. p. Wielu drobnych rolników za pożyczone nasiona pod zasiew zboża oddaje połowę urodzaju w snopach prosto z pola. Wskutek tego z każdym rokiem dobrobyt ludności się pogarsza, a rolnictwo zamiast się rozwijać—upada. By uścisć się z zaciągniętych na wiosnę pożyczek włościanie sięją co najwięcej 1 mu, czem wycieńczają grunt do ostateczności. W rezultacie i dług bywa nie opłacony całkowicie i chleba brak. Na wiosnę zaś — nowe pożyczki, znów wysokie procenty, i tak stopniowo następuje ostateczna ruina.

Zapobiec tym fatalnym konsekwencjom mógłby tylko tani kredyt państwowy, stosowany na szeroką skalę. Może gdzieindziej jest lepiej, ale u nas nic o nim nie słyhać, a przy panującym systemie biurokratycznym nie prędko doczekamy się jakiejś reformy w tej dziedzinie. Najlepszy przykład. Rada gminna w Leonpolu uchwaliła założenie gminnej kasy pożyczkowej i wyasygnowała na kapitał zakładowy 4000 zł. z prawem dziesięciokrotnej pożyczki z Banku Państwa. Jest to kropla w morzu naszej nędzy, lecz na początek przydałaby się i taka pomoc; niestety uruchomienie kasy dotąd nie nastąpiło. Dużo czasu upłynęło, nim projekt wypłynął z kancelarii gminnej, teraz zaś wypoczywa w instancji następnej. A ile jeszcze instancyj będzie musiał przejść, nim zostanie zrealizowany? I tak we wszystkim.

Drugą naszą bolączką są fatalne mosty i drogi, których stan zadawalający jest pierwszym warunkiem możliwości rozwoju ekonomicznego i kulturalnego kraju. Za czasów rosyjskich drogi były dzielone na trzy kategorie: wojskowo-komunikacyjne, handlowe i wioskowe. Te ostatnie leżały całkowicie na pieczy właścicieli gruntów, przez które one przechodziły. Drogi handlowe częściowo również, częściowo zaś były utrzymywane na koszt rządowy. Drogi wojskowo komunikacyjne były dzielone pomiędzy

gminy, dalej pomiędzy wsie i wreszcie poszczególne włościan. Właściciele folwarków byli obowiązani dostarczać budulec dla mostów i wogóle byli obciążeni powinnością drogową w stopniu znacznie lżejszym. Każdy gospodarz miał wydzielony mu kawałek drogi i obowiązany był każdej zimy wywieźć nie mniej 4 wozów żwiru na 1 sążeń drogi, wiosną ją okopać, żwir wyrównać i w razie potrzeby zabronować. W nader rzadkich wypadkach pozwalano naprawę drog oddawać przedsiębiorcy.

Mimo tak prymitywnej organizacji stan dróg nie był wcale gorszy, a przeważnie nawet lepszy, niż dziś, gdy płacimy podatek drogowy i gdy troska o drogi została włożona na barki samorządów gminnych i powiatowych. Tam więc gdzie powinien być postęp, widzimy krok wstecz i nie możemy zrozumieć, czemu się tak dzieje.

O innych bolączkach napiszę innym razem.

Przydrujski.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Dotrzo do mojej wiadomości, że niejaki p. Sirko, współpracownik o. Hapanowicza w działalności unjonistycznej, rozszerza wśród katolickiego społeczeństwa i kleru w Wilnie pogłoski, jakoby oświadczył kategorycznie o. Hapanowiczowi, że ks. Wł. Tołoczko jest autorem artykułu „Nieświadomość czy perfidia?” w „Przeglądzie Wileńskim”, oświeclającego metody miejscowych działaczy unjonistycznych.

Otóż niniejszem *kategorycznie* zapewniam, że unickiemu protorejowi o. Hapanowiczowi, którego już bardzo dawno *nawet na oczy nie widziałem*, stanowczo nic o ks. Tołoczce nie mówiłem.

Co się zaś tyczy p. Sirki, to istotnie jeszcze nie wiedząc, że to on właśnie jest p. Sirką (dopiero wtedy tylko poznałem go) i jaki jest jego stosunek do Unji, prowadziłem wobec niego w prywatnym domu ogólną rozmowę na temat Unji i między innymi potrąciłem o odnśny artykuł w „Przeglądzie Wil.” wyrażając przypuszczenie, że autorem jego jest ks. Tołoczko, który dawniej był współpracownikiem tego pisma. *Kategorycznie twierdzić* tego nie mogłem, ponieważ napewno o tem nie wiedziałem.

*Bo mi wiatr, co ostrożnie włos nad czołem muska
niesie stokroć piękniejszą wizję nowych ziem,
gdzie brzmi niezdarne śpięwnie mowa białoruska,
gdzie mogę rzec o wszystkim: czuję, znam i wiem.*

*Czuję senną tęsknotę borów żywicowych,
szumiących echem fali rwącej brzegów zrab,
czuję tętno zakłętą tajemniczej mowy,
którą dyszy wśród łaki prawiekowy dąb*

*Znam mgły co się zsuwają z niezwruszonych stawów,
zastygłych zielonkawą taflą w kłamrze szluz —
znam burze granatowe i śnieżyc kurawy,
szumy drżącej osiny i płaczących brzoź...*

*Wiem o puszczach, strzeżonych przez wykrotów trawy,
o jeziorach śródleśnych w kole sztywnych trzczin;
wiem, jak pną się powoje na cmentarne bramy,
jak snuje się po polu ognisk siwy dym.*

*Bliskie sercu chat rzędy ponad błotną drogą
słoneczniki i malwy patrzące do szyb,
czarne krzyże przydrżne zdobione ubogo
i żórawi studziennych monotony skrzyp.*

*Bliskie sercu ugory i jasny łan żytni,
i piachy wonne kwieciem miododajnych gryk —
i bławatki o niebie marzące błękitnie,
i dużych much pijanych pełnią lata bzyk.*

*I wiszary, patrzące w nurt głęboki rzeki,
i schnące grzybnią gęstwy świerków w darni mchów,
i echo dzwonek z blachy niedźwiedzine, dalekie
pędzonych przez zarośla flegmatycznych krów...*

*Nie znajdzie nigdzie serce takich leśnych jarów,
takich oczu serdecznych, takich niskich chat,
nie znajdzie olch nadbrzeżnych, żółtych nenufarów,
takich piosnek żałośnych, takich prostych szat.*

*Bo te nieba wyblakłe, ta gleba nieżywna,
te chmurny listopady, ten radosny maj —
to jedyna dla serca i ducha ojczyzna,
mniejsza, czy białoruski, czy litewski kraj.*

Oto prawdziwa poezja wileńska. Odnajdywać ona zaczyna swój ton, zagubiony w gwarze obcych melodyj. Oby rozległ się jaknajprędzej potężnym akordem!

Criticus.

Jeżeli zaś p. Sirko tak utrzymuje, to mogę tylko wyrazić zdziwienie z powodu jego niedelikatności, z jaką wykorzystuje rozmowy prywatne dla swych, wiadomych tylko jemu jednemu celów i miesza do nich szanowane i cieszące się ogólnym poważaniem osoby.

Proszę przyjąć etc.

Eugenjusz Bobdanowicz.

Wilno.

Przegląd prasy żydowskiej*).

(Echa rocznicy Berka Josielewicza).

Rozbrzmiewają w dalszym ciągu echa z powodu obchodu ku czci Berka Josielewicza, który się niedawno odbył w Wilnie.

W obszernym artykule, zamieszczonym w odpowiedzi p. Czesławowi Jankowskiemu („Wilner Tog”) dr. Max Weinreich, jeden z wybitnych działaczy żydowskiego obozu demokratycznego, w ten sposób ujmuje kwestję porozumienia polsko-żydowskiego:

„Czy Berek Josielewicz — jest właściwym symbolem dla tak koniecznego porozumienia polsko-żydowskiego?”

Jeżeli traktować tę sprawę abstrakcyjnie, to można odpowiedzieć „tak”. W swoim czasie Berek był niewątpliwie zjawiskiem postępowym. Żydzi byli podówczas tylko objektem państwa, a sprawa reform w polityce interesowała ich tylko o tyle, o ile mogła stąd wniknąć jakaś ustawa represyjna. O tem, by Żydzi uczestniczyli w pracy ustawodawczej nie myśłano wcale — nie myśleli ani Żydzi, ani inni. Dźwigano ciężary, ale także tylko pośrednio, za pośrednictwem kahału.

I oto przyszedł Berek i zawołał dość odrębności, jaka panowała dotychczas! Równe prawa i równe obowiązki!”

I dalej:

„W odezwie Komitetu Wileńskiego przytoczono zdanie Berka: „Na wolność należy uprzecznie zasłużyć”. Jeżeli tak, to trzeba wyciągnąć stąd odpowiednie wnioski. W teraźniejszym państwie polskim — podobnie jak w państwach nowoczesnych wogóle — Żydzi spełniają wszystkie obowiązki bez wyjątku. Naszych synów bierze się do wojska i w razie wojny posyła się ich na pole bitwy; podatki żydzi płacą w całej rozciągłości. Jest to dowód, że już zasłużyliśmy rzetelnie na nasze prawa obywatelskie”.

Cóż jednak u nas widzimy?

„Robotnik żydowski nie jest dopuszczony na żadne stanowiska w państwie, do żadnego zajęcia w samorządzie komunalnym. Rzemieślnikowi żydowskiemu usiłuje się wyrwać kęs chleba z ust zapomocą ustawy cechowej, a cechy zorganizowały się pod hasłem ekskluzywizmu chrześcijańskiego. Kupiec żydowski cierpi od przymusu odpoczywania w ciągu dwóch dni w tygodniu. Inteligent żydowski, choćby ukończył dwa wydziały, nie posiada nawet kwalifikacji do sprzedawania znaczków na pocztę. Szkół świeckich żydowskich nie włącza się do sieci szkolnej, wskutek czego zmusza się rodziców — Żydów do opłaty za naukę, jakkolwiek w funduszach ministerjum oświaty istnieje i nasz udział. Nawet przestarzałych ograniczeń carskich wobec Żydów jeszcze nie uchylono

* „Przegląd niniejszy przeznaczony był do numeru poprzedniego, nie wszedł jednakże doń z powodów technicznej natury. Mimo znacznego opóźnienia materiały nie stracił na swej aktualności.

Uzupełnieniem niejako wywodów d-ra Weinreicha jest artykuł p. B. Chilinowicza, zamieszczony w „Caji”.

Pisze on:

„Zbliżenie polsko-żydowskie! Świetna idea. Jesteśmy duszą i ciałem za takim zbliżeniem i byłibyśmy szczęśliwi, gdyby dojsz mogło do zbliżenia narodowości zamieszkujących państwo polskie. Ale nieodzownym warunkiem zbliżenia jest ażeby każda narodowość, zamieszkała w państwie mogła rozwijać swobodnie swoje zdolności i ażeby nasi synowie nie potrzebowali głodować z racji odbierania im źródeł dochodu lub wypchnięcia ich z tak ciężko zdobytych pozycji.

Niestety warunki te jeszcze nie zostały stworzone

Tylko wówczas, gdy polscy mężowie stanu to zrozumieją, — polityka mniejszościowa ulegnie zmianie na lepsze, nadejdzie właściwy moment dla istotnego zbliżenia wszystkich narodowości zamieszkujących Polskę”.

Te i tym podobne głosy świadczą wymownie, że kryzys ekonomiczny, który obecnie przeżywają Żydzi, pochłania całą ich uwagę i zmusza ich do rozpatrywania wszelkich zagadnień politycznych, przedewszystkiem pod kątem widzenia poprawy bytu materialnego szerokich warstw żydowskich. Głodnemu — chleb na myśli. Jest to zjawisko zupełnie zrozumiałe, i inicjatorzy obchodu ku czci Berka Josielewicza powinni byli mieć je na uwadze. Wówczas obojętność społeczeństwa żydowskiego względem uroczyściwości nie raziłaby ich i nie dziwiła.

Miecz. Goll.

KRONIKA.

Ojcowie czy dzieci? Ostatnimi czasy bezkrytyczna prasa wileńska reklamuje na wszelkie sposoby zakrojone niemal na skalę amerykańską pomysły nowatorskie naszego magistratu. Wice-prezydent Czyż obnosi się ze swym planem regulacyjnym Wilna, który przewiduje przekształcenie w ciągu kilku lat biednego, brudnego, zaniedbanego grodu Gedymynowego na nowoczesne rzęsiście oświetlone, gładko wybrukowane, im onujące swą czystością miasto europejskie. Czego niema w tym planie regulacyjnym! Inowa rzeźnia, i nowa gazownia, i wielka piekarnia, i pałac higieny, i domy robotnicze, i tramwaje, i szkoły i wspaniałe parki, do których planowania zaangażowany został specjalista ogrodnik. Koszty tych wszystkich przedsięwzięć obliczono w skromnej sumie 100 milionów złotych, z których 20 milionów obiecał dać Bank Gospodarstwa Krajowego, ale.. nie dał, proponując magistratowi zaciągnięcia pożyczki zagranicznej. Magistrat niezwłocznie rozpoczął staranie, które dotychczas nie dały wprawdzie konkretnego rezultatu, ale które utrzymują go w błogie nadziei, że pieniądze się znajdą. Tak się bawią nasi ojcowie miasta, budując zamki na lodzie. Na razie zaś doczekaliśmy się jedynie wycięcia grupy starych drzew przy kościele Bernardyńskim oraz wielkiego pola owsa wśródmiejskim, na placu Łukiskim. Impreza niewątpliwie b. pożyteczna, ale co ma ona wspólnego z zamierzoną europeizacją Wilna?

Demonstracja. Jak donoszą pisma litewskie, podczas wizytacji parafji Gierwiackiej przez J. E. arcybiskupa Jędrzykowskiego w wioskach litewskich przez kt re przyjeżdżał ks. arcybiskup wystawiono bramy triumfalne, ozdobił je czarnymi chorągiewkami, na znak protestu przeciwko skasowaniu nabożeństw litewskich w kościele gierwiackim. Jest to już drugi wypadek podobnej demonstracji. Po raz pierwszy witała czarnymi chorągiewkami swego Arcypast rza ludność litewska w parafji Raduńskiej. Smutne te i pożałowania godne objawy wrogiego nastroju względem swej władzy duchownej wśród ludności katolickiej i niewątpliwie głęboko przywiązanej do Kościoła katolickiego są wyłącznie wynikiem wysoce nietaktownej, despotycznej i szowinistycznej polityki wileńskiej Kurji Metropolitalnej.

Nierówne siły. Stanowcza odprawa dana przez nas „Myśli Niepodległej” w artykule „Pieniacka natura” miała ten tylko skutek, że w ostatnim numerze pismo to poświęciło „Przeglądowi Wil.” i jego redaktorowi jeszcze więcej miejsca, niż zwykle, przyczem idea krajowa została ochrzczone mianem „branderu kowieńskiego”. Porównanie — bardzo efektowne, chociaż nie odznaczające się aktualnością ze względu, iż właśnie niedawno obie strony: Polska i Litwa zadeklarowały uroczystie w Genewie, że stan wojny między nimi nie istnieje. Ale p. Niemojewskiemu, jak to już zaznaczyliśmy ostatnio, nie chodzi nigdy o meritum polemiki, jeńo o pretekst do popisania się swą elokwencją i umiejętnością fechtunku słownego. Na krótko może to być zajmująca rozrywka, ale gdy się przeciąga — nuży i uczestników i widzów. Ustępujemy więc z pola, nie mając zresztą żadnej ochoty do potykania się z przeciwnikiem, który walczy „i historycznemi” argumentami w rodzaju tego, że Łotwa i Estonia wchodziły kiedyś w skład W. Ks. Litewskiego!

Ustąpienie prof. Chodynickiego. Pogłoska, która już oddawna krążyła w kołach naukowych wileńskich o zamiarze prof. Chodynickiego przeniesienia się od jesieni na uniwersytet poznański znalazła potwierdzenie na szpaltach „Dziennika Wil.” Istotnie jest to już kwestja zdecydowana. Nie możemy nie wyrazić żalu, że uniwersytet wileński traci tak poważną siłę naukową, tem cenniejszą dla Wilna, że prof. Chodynicki poświęcał się specjalnie studjom nad dziejami W. Ks. Litewskiego i był redaktorem czasopisma „Ateneum Wileńskie”, o którym tak często zdawaliśmy sprawę na łamach „Przegl. Wil.”. Jak słyszeliśmy, opuszczenie Wilna przez prof. Chodynickiego zostało spowodowane względami natury czysto prywatnej.

Jubileusz „Viln. Aidas” Dn. 14 b. m. ukazał się numer pięćsetny pisma litewskiego p. t. „Viln. Aidas” wychodzącego w Wilnie trzy razy tygodniowo. Numer jubileuszowy wyszedł w zwiększonej objętości i zawiera szereg artykułów okolicznościowych. Składamy na tem miejscu redakcji „Viln. Aidas” chociaż spóźnione, niemniej szczerze życzenia dalszego pomyślnego rozwoju wydawnictwa i ogólnej pracy.

Zjednoczenie obozu polonofilskiego. Jak donosi „Utro”, toczą się pertraktacje w sprawie zjednoczenia dwóch grup białoruskich: Umiaszowskiego i Wiernikowskiego. Złanie się tych dwóch grup w jedną organizację, podobno, jest rzeczą przesądzoną. Zapewne jednocześnie zamiast dwóch pism o tym samym kierunku polonofilskim: „Bieł. Dnia” i „Hramadżianina” powstanie jedno, być może o nowej nazwie.

Z dziedziny humorystyki. Nie jeden z czytelników zapewne zwrócił uwagę na liczne wzmianki i ogłoszenia w piśmie codziennych, dotyczących jedwabnictwa, założenie u nas towarzystwa popierającego ten przemysł egzotyczny i t. p. O humorystycznej tej imprezie znajdujemy nieco informacji w wywiadzie, udzielonym przez p. R. Węckowicza, redaktora „Tygodnika Rolniczego” współpracownikowi „Kurjera Wil.” P. Węckowicz wyraził żal, że w kołach miarodajnych nie jest modną pomocą wsiom skomasowanym, na podobieństwo mody morwowej, a widząc zdumienie na twarzy interlokutora złożył następujące wyjaśnienie:

„A, to Pan nie wie o tej modzie? Otóż w Polsce jest teraz morwowa moda. Ręczę Panu, że jeżeli udać się do Ministerstwa Rolnictwa z przedstawieniem potrzeby postawienia np. buhai we wsiach skomasowanych, lub też dostarczenia nasion, czy narządzi dla tychże wsi, to Pana spotkać może zawód.

Natomiast, jeżeli Pan złoży ofertę rozpowszechnienia w tychże wsiach drzewek morwowych, to Pan, mam wrażenie, zostanie przyjęty (naturalnie w Warszawie) przychylnie i kredyły na to się znajdują. Tak Panie, „moda” — to grunt. Podobno Ministerstwo Kolei przysłało do nas 30.000 sztuk szczepów morwowych na obsadzenie torów kolejowych, Otóż mojem zdaniem palącą potrzebą byłoby wytworzenie „mody” na zajęcie się pomocą wsiom skomasowanym. Taby była bardzo użyteczna moda”.

Jakto Warszawa się troszczy, abyśmy mieli jedwabne życie!

Smutne horoskopy. Ze źródeł miarodajnych „Słowo” uzyskało garść informacji, dotyczących przewidywań w sprawie przyszłych zbiorów. Panujące oddawna zimna sprawiły, że dziś już o przyszłych zbiorach mówić można, jako o mniej niż średnich.

Zyta, zwłaszcza gatunki szlachetniejsze zmieniły na tyle, że nawet szybkie ocieplenie się nie zdąży naprawić sprawy. Owies i jęczmień średni, tu i ówdzie nawet niezły.

Kartofle zapowiadają się źle, a w wielu miejscowościach wcale jeszcze nie przystąpiono do sadzenia. I tu, tylko rychłe ocieplenie się może przynieść poprawę.

Lny, pomimo tego, że kraj nasz posiada doskonale warunki, dotychczas przedstawiają się słabo.

Jednem słowem zboża czekają na ciepło i tylko ciepło w dniach najbliższych może zagwarantować nam zbiory średnie — O dobrych, niestety, zbiorach nie może już być mowy, bowiem silniejsza vegetacja ledwo rozpoczyna się, to też zmiana pogody nie wiele może poprawić.

Od Wydawnictwa.

Zwyczajem lat ubiegłych i w tym roku „Przegląd Wileński” w ciągu miesięcy letnich będzie wychodził nieregularnie i w odstępach rzadszych.

Od połowy lipca redakcja i administracja pisma będą nieczynne w przeciągu paru tygodni, prosimy więc uprzejmie Sz. Prenumeratorów o nadsyłanie przedpłaty na drugie półrocze i trzeci kwartał przed dn. 15 lipca.

Treść numeru: Geografia i polityka. — *Dymitry Marenycz.* Dlaczego? — Sfałszowany podpis. — *Licz.* Z mego notatnika. — *Przydrujski.* Nasze bołaczki. — List do redakcji. — *M. Gold.* Przegląd prasy żydowskiej. — Kronika. Odcinek *Criticus.* Poezja wileńska.